SCRIPTORES CAPTORES
BIBLIOTEKA

JULIA HARTWIG

OŚRODEK BRAMA GRODZKA
TEATR NN

ZAUŁEK HARTWIGÓW

RODZINA HARTWIGÓW: (OD LEWEJ)
JULIA, WALENTY, HELENA-ŻONA EDWARDA, EDWARD, LUDWIK, ZOFIA, WŁADYSŁAW-MĄŻ ZOFII, HELENA

ROK 1934 - 35

1

ZAUŁEK HARTWIGÓW

JULIA HARTWIG

JULIA HARTWIG

ZAUŁEK HARTWIGÓW

SCHODY POMIĘDZY ULICĄ KOWALSKĄ A PLACEM RYBNYM
DZIŚ ZAUŁEK HARTWIGÓW

3

FOT. EDWARD HARTWIG

RADOŚĆ Z ZAUŁKA

JULIA HARTWIG

Kim są ci Hartwigowie, którym przypisany został piękny zaułek łączący ulicę Kowalską z Placem Rybnym w Lublinie? Nazwę ulicy nosi zazwyczaj jedna osoba, wybrana i uznana za godną tego wyróżnienia. A tu mowa jakby o rodzinie, spróbujmy więc o rodzinie Hartwigów coś więcej powiedzieć.

Kiedy przybyli do Lublina w roku 1918, uciekając przed rewolucją w Rosji, było ich sześcioro: Ludwik, fotograf z zawodu, jego żona, Maria Biriukow, Rosjanka urodzona w Moskwie i ich czworo dzieci, Edward, Walenty, Zofia i Helena. W roku 1921 dołączyła do tej gromadki urodzona już w Lublinie, najmłodsza córka, Julia. Zamieszkali przy ulicy Staszica 2, na facjatce, gdzie zajmowali dwa pokoje z oddzieloną ciemnym korytarzem dużą kuchnią. Początki musiały być niełatwe. Zwłaszcza po dostatnim życiu w Moskwie, gdzie im niczego nie brakowało. Ojciec znalazł się w stolicy Rosji w 1909 jako przedstawiciel łódzkiej firmy fotograficznej J. Tyraspolski. Następnie założył dwa własne zakłady, cieszące się powodzeniem. Wielu Polaków znajdowało wówczas dobre warunki pracy w Rosji, byli wśród nich ludzie najróżniejszych zawodów. Tak zwana Kongresówka utrzymywała ożywione stosunki handlowe ze swoim wschodnim sąsiadem. Rewolucja październikowa zmieniła wszystko. Polacy uciekali stamtąd do ojczyzny i wracając całowali ojczystą ziemię. Tak było i z naszą rodziną.

Mieszkanie na Staszica pamiętam mgliście, ale mimo trudności codziennego życia wspominam ten okres jako może najszczęśliwszy dla naszej rodziny. Byliśmy wszyscy razem, moi bracia i siostry chodzili do gimnazjum, ja chodziłam do szkoły podstawowej mieszczącej się tuż przy Katedrze i pamiętam dotąd, że kiedy rano odprowadzała mnie matka, zachodziła zawsze na pacierz do Katedry, uważając widać, że i w cerkwi i w kościele jej modlitwa będzie tak samo wysłuchana. Nigdy jako dziecko nie zastanawiałam się nad tym i nie czułam,

że moja matka jest Rosjanką. W domu mówiło się wyłącznie po polsku, czego do dziś trochę żałuję, nie znam bowiem dotąd języka rosyjskiego.

Po kilku latach przenieśliśmy się na pierwsze piętro, do trzypokojowego mieszkania ze służbówką, które opuścił dotychczasowy lokator. Materialnie mieliśmy się już lepiej. Źródłem utrzymania był zakład fotograficzny przy ulicy Narutowicza, który bardziej przypominał oszklony barak niż atelier, ale zbudowany był z punktu widzenia zawodowego celowo. Dziś, sięgając w przeszłość, podziwiać muszę energię mojego ojca i jego umiejętność współżycia z ludźmi, dzięki czemu zajął poczesne miejsce w życiu ówczesnego Lublina. Był szanowanym obywatelem i z pewnością najbardziej popularnym fotografem w mieście, do dziś jeszcze spotykam ludzi, którzy przechowują dotąd zdjęcia rodzinne wykonane przez mojego ojca. Tak czy inaczej, nazwisko jego związało się z latami międzywojennego Lublina.

Był fotografem uniwersalnym. Robił zdjęcia w pracowni i zdjęcia grupowe, jeździł do szkół, na zjazdy, fotografował ważne wydarzenia w mieście. Reklamując swoją firmę używał pieczątki: "Fotograf uniwersytetu lubelskiego i teatru lubelskiego". Jego namiętnością był teatr, z zamiłowaniem robił też zdjęcia teatralne, a nie było to zadanie łatwe zważywszy, że zdjęcia robiło się zazwyczaj po zakończeniu przedstawienia i w tym celu trzeba było raz jeszcze ustawiać dekoracje. Pracę utrudniał niezwykle ciężki sprzęt, duży aparat, statyw, szklane klisze w drewnianych kasetach. Przybory te pomagali mu dźwigać obaj moi bracia, których zadaniem było również rankami, przed pójściem do szkoły, płukanie odbitek i przycinanie ich do odpowiedniego formatu. Nic więc dziwnego, że nikt z mojego rodzeństwa nie zdradzał ochoty do wyboru podobnego zawodu. Wiele godzin musiał ojciec też spędzać na pracy w ciemni i jego palce zabarwione były zawsze śladami kwasów.

Choć zajęty był czasem do późnej nocy, kochał swój zawód i wykonywał go z prawdziwym zamiłowaniem. Łatwo nawiązywał kontakt ze swoimi klientami, chętnie też udzielał porad młodym adeptom fotografii amatorskiej, która nie była jeszcze ani tak rozpowszechniona, ani tak zautomatyzowana jak dziś. Pamiętam też, że z otchłani ciemni dobiegał mnie często jego melodyjny gwizd, będący wspomnieniem jakiejś arii operowej lub zapamiętanej z koncertu melodii, co świadczyło w sposób oczywisty, że humor mu w pracy sprzyja.

Kiedy mój brat, Edward, początkowo studiujący malarstwo, zaczął pod kierunkiem ojca fotografować, on z kolei przejął pracownię na Narutowicza, która stała się wkrótce miejscem spotkań bohemy i ludzi zainteresowanych fotografią artystyczną. W roku 1935 brat mój wyjechał na studia do Wiednia, by udoskonalić swoją wiedzę w dziedzinie fotografii. Trafił do Instytutu Graficznego, gdzie studiował pod kierunkiem znakomitego profesora, Rudolfa Koppitza, który wrócił właśnie z pobytu w Stanach Zjednoczonych. Podczas pobytu Edwarda w Wiedniu zakład prowadziła jego żona, Helena (z domu Jagiełło) i zdjęcia jej cieszyły się dużym powodzeniem u klientów; niektóre z jej prac artystycznych znalazły się również,okazjonalnie, na kilku wystawach.

Pobyt wiedeński utwierdził Edwarda Hartwiga w przekonaniu, że fotografia jest dziedziną godną nazwy sztuki i że on sam ma w niej wiele do powiedzenia. Odstąpiwszy swoją pracownię synowi, ojciec otworzył zakład na tyłach Hotelu Europejskiego na Krakowskim Przedmieściu i tam też zamieszkaliśmy. W rozmowie, jaka cytowana jest na dalszych stronach tej książeczki, Edward przypomina ludzi, z którymi przyjaźnił się w czasach przedwojennych i mówi o swoich kontaktach z życiem artystycznym ówczesnego Lublina.

4

WITRYNA PRACOWNI PRZY ULICY KAPUCYŃSKIEJ 2

W roku 1931 straciliśmy naszą ukochaną matkę i wiele czasu upłynęło nim pogodziliśmy się z tym sieroctwem. Zamieszkała wówczas z nami babka, matka mojego ojca, Maria z domu Szmidt Hartwigowa, i jej mąż, Andrzej, który był specjalistą od wyrobu mebli. Oboje pochodzili z różnych stron Polski, ona z Suwalszczyzny, on z Podola. Babka była znakomitą gawędziarką i bajczarką, o czym Edward wspomina w jednym ze swoich wywiadów. Moje rodzeństwo zaczęło teraz powoli opuszczać dom, najstarszy brat założył rodzinę, Walenty ukończył chlubnie studia medyczne na Uniwersytecie Warszawskim i ożenił się, do Warszawy przeniosła się siostra Helena, gdzie zapisała się do słynnej szkoły pielęgniarskiej imienia Florencji Nitghingale. Zofia wyszła za mąż, po czym oboje z mężem, poduczeni w fachu przez ojca, założyli zakład w Lubartowie, gdzie zresztą wiodło im się nienajlepiej. Wrócili więc znów do Lublina, gdzie pozostali już oboje do końca życia pomagając ojcu i opiekując się nim podczas długotrwałej choroby, która na kilka lat przykuła go do łóżka.

W czasie bombardowania Lublina, zaraz w pierwszych dniach września 1939 roku, tuż po wybuchu wojny, bomba trafiła w dom na Krakowskim Przedmieściu, gdzie mieścił się zakład ojca. On sam cudem ocalał, jednak całe archiwum fotograficzne, włącznie z kliszami brata, wśród których znaczną część stanowiły zdjęcia Lublina i Kazimierza, uległo wówczas zniszczeniu. Wtedy właśnie ojciec mój przeniósł się na ulicę Świętoduską.

W momencie wybuchu wojny Edward miał już znaczny dorobek artystyczny, fotografował w każdej wolniejszej chwili, wykonał całą serię zdjęć portretowych i krajobrazowych, zwłaszcza z Lublina i okolic. Zdjęcia te, obok walorów artystycznych mają dziś nieocenioną wartość dokumentalną. Na Ogólnopolskiej Wystawie Krajobrazu w Warszawie, zorganizowanej w 1939 roku, wystawił około czterdziestu prac przedstawiających krajobrazy z różnych stron

Polski. Jego nazwisko stało się znane nie tylko w Lublinie, ale i w całym kraju.

Podczas okupacji niemieckiej, zarówno mój brat Walenty jak i ja, braliśmy udział w konspiracji. Edward zapewne też był w tę działalność wmieszany, bowiem tuż po wejściu armii rosyjskiej do Lublina natychmiast go aresztowano wraz z całą grupą inteligencji lubelskiej i wywieziono do obozu Jogła, na północy Rosji, skąd szczęśliwie wrócił po półtorarocznym pobycie w 1946 roku. Nasza siostra Helena w zawierusze wojennej znalazła się w Niemczech, wyszła za mąż i w Niemczech pozostała. Jej mąż, Helmut Pattberg, był właścicielem fabryki włókienniczej.

Najdokładniej oczywiście znam własne losy. W roku 1940, po krótkim pobycie na wsi u państwa Szczepańskich, właścicieli niewielkiego majątku Stróża, gdzie uczyłam ich trzy córeczki, wróciłam do Lublina, gdzie dyrektorka mojej szkoły – a było to świetne gimnazjum państwowe imienia Unii Lubelskiej – zaproponowała mi studia na tajnym Uniwersytecie Warszawskim. Przystałam na to z wdzięcznością. Lublin nie był już tym samym miastem co niegdyś, co przed wojną. Utworzenie getta, wymordowanie Żydów i zniszczenie Starego Miasta było zbrodnią dokonaną nie tylko na ludziach, ale i na micie Lublina, na moich własnych wspomnieniach dzieciństwa. Wyjazd do Warszawy budził nadzieje na jakąś odmianę. Zapisałam się na wydział filologii polskiej i wypełniałam równocześnie zadania kurierki Szarych Szeregów. Miałam szczęście studiować u profesorów tak świetnych jak Julian Krzyżanowski, Witold Doroszewski, Władysław Tatarkiewicz, Tadeusz Kotarbiński czy docent Zofia Szmydtowa. Uczęszczając na wykłady profesora Krzyżanowskiego poznałam dwóch młodych poetów, Tadeusza Gajcego i Zdzisława Stroińskiego, piszącego pod pseudonimem Chmura. Niestety nie zdążyłam już zawrzeć bliższej z nimi znajomości, bo pewnego dnia, wiosną 1944 roku, podczas mojej nieobecności, pojawiło się w moim warszawskim mieszkaniu gestapo. Uciekłam więc z Warszawy i ukryłam się w nadleśnictwie

Świdnik, gdzie nadleśniczym był stryj Anny Kamieńskiej, mojej przyjaciółki z lat szkolnych. Obie, na wieść o wkroczeniu armii rosyjskiej powróciłyśmy pieszo do Lublina. Wtedy to właśnie aresztowano mojego brata Edwarda. Rodzina niespokojna była też o los drugiego brata, Walentego, który pracował przez cały czas powstania w Warszawie, w szpitalu Dzieciątka Jezus, na Nowogrodzkiej. Na szczęście przebył ten okres cały i zdrowy. W jakiś czas po powrocie z obozu Edward powziął myśl o przeprowadzce do Warszawy. W zburzonej kamienicy przy Alejach Jerozolimskich zbudował na drugim piętrze pracownię i mieszkanie, a w roku 1951 przeniósł się do stolicy wraz z żoną i dwoma córkami. Tutaj rozpoczął się nowy etap jego pracy i tu zaczęła się jego, można tak śmiało powiedzieć, nie tylko polska, ale też europejska kariera.

Odtąd towarzyszyło mu już nieprzerwane pasmo sukcesów, które osiągał nieustającym wysiłkiem artystycznym. Bierze udział w dziesiątkach, jeśli nie setkach, wystaw krajowych i międzynarodowych, we wszystkich stolicach świata. Wydaje liczne albumy, m.in.: "Ziemię Rodzinną", "Lublin", "Łazienki", "Fotografikę" (którą zakupiły również wydawnictwa zagraniczne), "Moją ziemię", "Akropol", "Pieniny", "Kraków", "Warszawę", "Wariacje fotograficzne", "Kulisy teatru", "Wierzby", "Halny", "Kazimierz Dolny nad Wisłą", "Spotkanie z Chopinem"i "Żelazowa Wola", (te trzy albumy wykonał wraz z córką, Ewą Hartwig –-Fijałkowską). Kilka z tych albumów opatrzonych jest moimi wstępami. Jego wystawy odbywały się m. in. w Paryżu, Londynie, Wiedniu, w Huston (gdzie zakupiono jego fotogramy do muzeum), w Atenach i we wszystkich większych miastach polskich. Jest to jakby nieustanny festiwal jego sztuki. Nigdy nie pozwalał sobie na odpoczynek, ale poszukując wciąż nowych rozwiązań potrafił zachować własny, rozpoznawalny styl. Zadziwiał młodych fotografików swoją wynalazczością, nigdy jednak nie zgadzał się, by poszukiwania jego nazywać eksperymentami. To słowo wydawało mu się zbyt techniczne, miał do fotografii stosunek, który można by nazwać

W ŚRODKOWYM RZĘDZIE PIERWSZY Z LEWEJ EDWARD HARTWIG

UCZNIOWIE GIMNAZJUM IM. STANISŁAWA STASZICA
Z NAUCZYCIELEM WACŁAWEM KOŁODZIEJSKIM

ROK 1920

miłosnym. Jak niewielu innych artystów zdążył zaznać jeszcze smaku sławy, los obdarował go życiem długim i niemal do końca twórczym. Jeśli ktoś z naszej rodziny zasłużył sobie najbardziej na ochrzczenie naszym nazwiskiem tego przepięknego zaułka z symbolicznymi niejako schodami pnącymi się w górę, to w pierwszym rzędzie wymienić tu trzeba jego, portrecistę Lublina.

Dobre słowo należy się z tej okazji również ojcu, którego największą może zasługą było to, że nakłonił swego syna, Edwarda, do wyboru tej, a nie innej drogi i przygotował go do niej. Godna uwagi była też jego rzemieślnicza i ludzka solidność. W polskiej encyklopedii znalazła się jednak nie głowa rodu, ale troje z jego dzieci: Edward, Walenty i Julia. Drugim po Edwardzie był Walenty, profesor medycyny, znakomity diagonista, zwany też "Ojcem endokrynologii polskiej", medycyna nasza zawdzięcza mu bowiem pierwsze kroki w tej stosunkowo młodej wówczas nauce. Wkrótce po jego śmierci, która nastąpiła w 1991 roku, powstała fundacja jego imienia, mająca na celu pogłębianie wiedzy endokrynologicznej. Był człowiekiem prawym i powszechnie poważanym w swoim środowisku, wielkiej przy tym skromności.

Obaj bracia nie byli bezpotomni. Córka Edwarda, Ewa, choć z wykształcenia stomatolog, zwróciła się jednak do fotografii, towarzysząc w wielu wyprawach swemu ojcu, którym zajmowała się w ostatnich latach, kiedy owdowiał. Wydała też z nim wspólnie trzy albumy – o czym wspomnieliśmy – i miała indywidualną wystawę fotograficzną. Jej mąż, Andrzej, jest ekonomistą. Druga córka, Danuta, towarzyszyła ojcu raczej rodzinnie, jej mąż, Antoni Saulewicz jest prawnikiem. Jako głowa rodziny doczekał się Edward dwóch wnuków i trzech prawnuczek. Po Walentytm Hartwigu żadna z córek nie przejęła zamiłowania do medycyny. Obie to zapalone humanistki. Jolanta Hartwig-Sosnowska jest scenarzystką filmową i autorką książek dla dzieci, jej mąż Janusz Sosnowski to znany scenograf filmowy i teatralny, wykładowca

w Łódzkiej Szkole Filmowej. Druga córka, Elżbieta, pracowała przez wiele lat w radio, w dziale dziecięcym i szkolnym; adaptowała też słuchowiska. Ich związki z ojcem były bardzo bliskie. Matką obu córek była Krystyna z domu Kostecka.

Jeśli mam już dodać do tej encyklopedycznej trójki i siebie, to w błyskawicznym skrócie spróbuję podać najważniejsze fakty ze swojego życia. Zadebiutowałam mając niespełna piętnaście lat, w międzyszkolnym piśmie literackim "W słońce", które wychodziło w Lublinie. Po opisanym już wyżej okresie okupacyjnym kontynuowałam studia uniwersyteckie, przez czas krótki na KUL-u, po czym powróciłam na Uniwersytet Warszawski, który po powstaniu znalazł schronienie w Krakowie. W roku 1947 otrzymałam stypendium Rządu Francuskiego i wyjechałam do Paryża, gdzie przebywałam przez trzy lata studiując literaturę francuską. Przez ostatnie miesiące pobytu paryskiego pracowałam w attachacie kulturalnym Ambasady Polskiej. W roku 1950 wyszłam za mąż za poetę, prozaika i eseistę, Artura Międzyrzeckiego. W roku 1955 urodziła się nam córka Daniela. W roku 1970 wyjechaliśmy wraz z córką do Stanów Zjednoczonych, gdzie mąż mój wykładał historię europejskiej poezji współczesnej na prywatnym uniwersytecie w Des Moines, a następnie na nowojorskim uniwersytecie stanowym w Stony Brook, na Long Island. W tym czasie prowadziłam przez jeden semestr w Des Moines wykłady z tzw. "Creative writing", czyli sztuki pisania i wygłosiłam kilka odczytów o literaturze polskiej na uniwersytecie w Ottawie.

Po powrocie do kraju w roku 1974 kontynuowaliśmy pracę pisarską i opublikowaliśmy liczne zbiory poezji własnej i tłumaczonej z innych języków, a także eseje i prozę. Wydaliśmy wspólnie "Antologię poezji amerykańskiej", kilka książek dla dzieci, tom tłumaczeń wierszy i prozy Guillaume Apollinaire'a, a także "Listy" Rimbauda. Za ogłoszone tłumaczenia otrzymaliśmy kilka nagród indywidualnych i kilka wspólnych, polskich, amerykańskich,

austriackich i francuskich. Poza poezją ogłosiłam również "Dziennik amerykański" z pobytu w Stanach i dzienniki podróży – "Zawsze powroty", monografię Apollinaire'a i Gérarda de Nerval. Wśród moich wierszy nie mogły się nie znaleźć również strofy poświęcone rodzinnemu miastu.

Nasza córka ukończyła studia filozoficzne na uniwersytecie Columbia w Nowym Jorku. Przez kilka lat wykładała na uniwersytetach nowojorskich, ostatnio uczy w szkole, również w Nowym Jorku. Jej mąż, Keth Lehtinen, Amerykanin, z pochodzenia Fin, zajmuje się budownictwem wnętrz i konserwacją drewna (ostatnio w Muzeum Fricka).

Oboje z Edwardem przeżywaliśmy chwile prawdziwej radości, kiedy okazywało się, że nasze prace, prowadzone na dwóch tak różnych polach, spotykają się ze zrozumieniem i sympatią, a nawet są nagradzane, w kraju i zagranicą. Wśród licznych wyróżnień najbardziej może cenił sobie Edward srebrny medal miasta Paryża i Medal Zasłużonych dla Lublina. To, co nas łączyło, to poczucie wdzięczności, że trud nasz nie idzie na marne, że ktoś go dostrzega i czerpie z naszej sztuki pociechę, czy zadowolenie artystyczne. Nie możemy się skarżyć na zapomnienie lub brak uznania. Ale z pewnością najpiękniejsza jest ta chwila, kiedy satysfakcji udzielają nam ludzie związani z tym, co nam bliskie, z naszym rodzinnym miastem. Dlatego z taką radością cała nasza rodzina przyjęła ten dar jakim było nazwanie "Zaułka Hartwigów" w Lublinie.

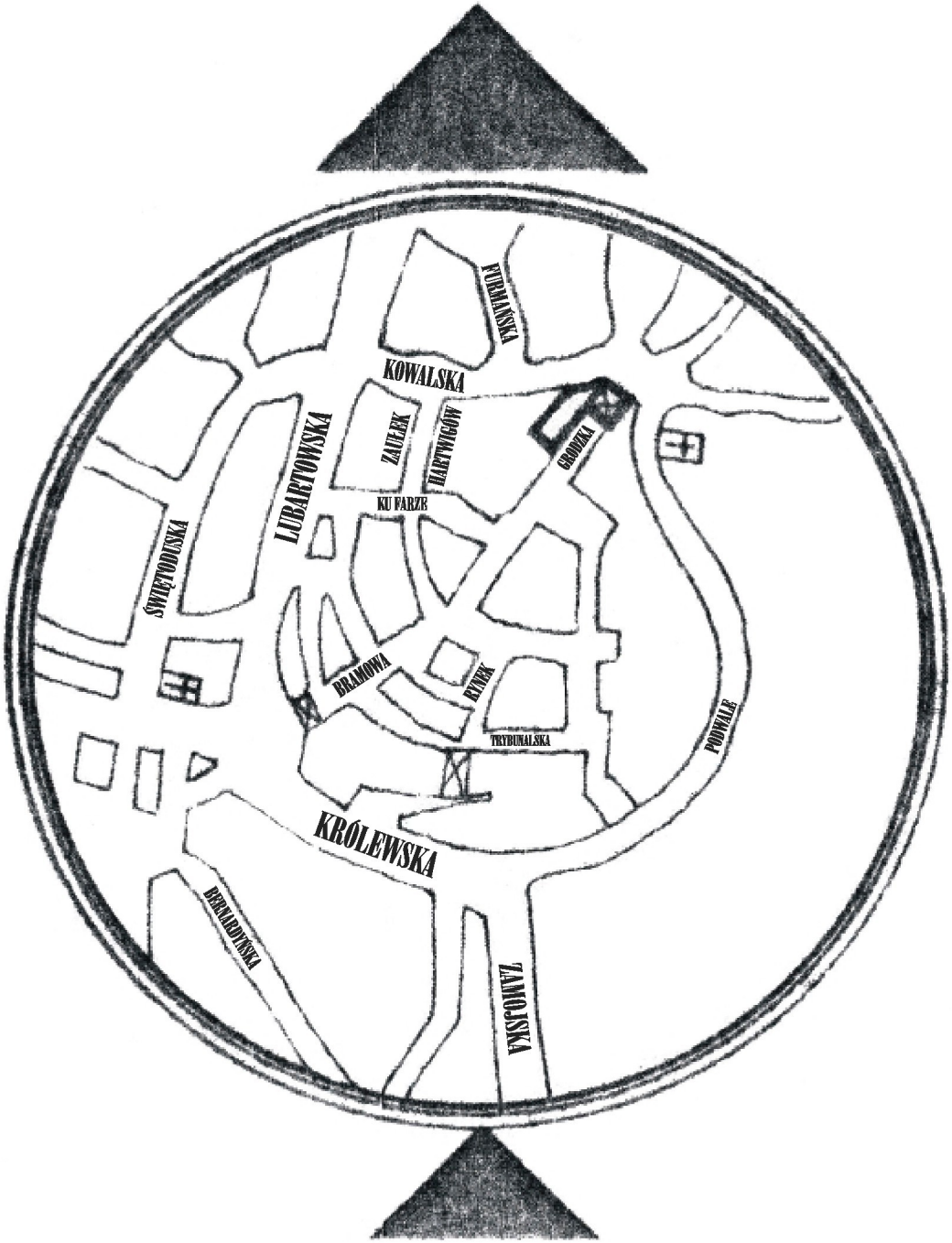
KOWALSKA
FURMAŃSKA
LUBARTOWSKA
ZAUŁEK
HARTWIGÓW
CHODZKA
KU FARZE
ŚWIĘTODUSKA
BRAMOWA
RYNEK
TRYBUNALSKA
PODWALE
KRÓLEWSKA
BERNARDYŃSKA
ZAMOJSKA

JULIA I EDWARD HARTWIG NA KRAKOWSKIM PRZEDMIEŚCIU

LATA TRZYDZIESTE XX WIEKU

WYWIAD Z BRATEM

JULIA HARTWIG ROZMAWIA Z EDWARDEM HARTWIGIEM

Najpierw chciałem być malarzem. I do dziś nie potrafię powiedzieć czy wynikało to z upodobania do pejzażu – który dotąd stanowi ulubiony temat moich zdjęć i którego ujęcia przeszły przez tyle faz od pierwszych moich prób aż do ostatnich, czy też na moją słabość do malarstwa wpłynęła fascynacja środowiskiem malarskim i jego życiem.

Pamiętam wycieczki, jakie odbywałem wraz z moim kolegą do Kazimierza nad Wisłą. Z Lublina nie było to daleko. Kazimierz był wtedy miasteczkiem z prawdziwymi domami, prawdziwymi zabytkami i prawdziwymi mieszkańcami. Dziś jest to dworzec zajezdny, przez który przepływają dziesiątki turystów. Bardzo piękny, ale na wpół martwy dla tych, którzy znali to miejsce przed wojną. Pamiętam tamtejsze chłopskie jarmarki, małe żydowskie sklepiki, dzwony bijące w kościołach, letników przyjeżdżających z całymi rodzinami i dziećmi, i przede wszystkim malarzy. Był to okres szkoły Pruszkowskiego i Bractwa Świętego Łukasza. Na ulicach porozstawiane niemal co krok sztalugi, przy każdej z nich ekscentryczna postać z paletą w jednej, pędzlem w drugiej ręce. Na schodkach i rozkładanych stołkach studenci ze szkicownikami. Widywałem ich u Berensa, gdzie przychodzili na posiłki zakrapiane nie rzadko alkoholem, z zazdrością słuchałem dobiegających mnie odgłosów ich beztroskich rozmów, zachwycały mnie ich białe wymięte spodnie płócienne, kolorowe szale na szyjach i zgniecione kapelusze chroniące głowy przed słońcem. Pierwszy raz zobaczyłem ich przy stoliku, na którym palił się ogień na półmisku czy w wazie, dziś już nie wiem. Może był to poncz, może zapalono rum na naleśnikach – dla mnie ten ogień i oświetlone jego odblaskiem wesołe twarze o ciekawym wyrazie stały się jakby symbolem czegoś odmiennego, piękniejszego od reszty świata. Wiedziałem, że często nie mieli grosza przy duszy i nieraz zmagali się z biedą, bywało, że nie starczało im na farby i płótna albo na jedzenie, ale ich sposób życia wydawał mi się najgodniejszy naśladowania. Różnice zachowań i obyczajów w różnych środowiskach społecznych były wówczas ogromne. Panowie mieszczuchy potrafili jeszcze wybrać

się na trawkę w lakierkach i nawet młodzi ludzie ubierali się na co dzień starannie, nie było jeszcze mowy o niczym w rodzaju dżinsów lub noszonych dziś czasem przez młodzież, nawet uniwersytecką, kombinezonach robotniczych.
Co tu dużo mówić – zapragnąłem znaleźć się w tej atmosferze sztuki i pozornej beztroski, tego odmiennego fasonu i odmiennych trosk.

Pierwsze lekcje rysunku i malarstwa brałem u profesora Henryka Wiercińskiego. Malowałem z modela i w plenerze. Ale, zdaje się, dość szybko zrozumiałem, że marny byłby ze mnie malarz. Mimo to do dziś zachowałem ogromną skłonność do tak zwanej cyganerii, która zresztą została już chyba tylko w literaturze i moim wspomnieniem, bo co mogłoby dziś odpowiadać dawnej cyganerii?

*

Twoja kariera malarska nie była długa, przypominam to sobie mgliście.

*

Ożeniłem się, założyłem rodzinę. Ptak niebieski musiał teraz pomyśleć o utrzymaniu domu. Chcąc nie chcąc – otworzyłem zakład fotograficzny.

*

Malownicza, drewniana, bardzo obszerna buda odziedziczona po ojcu, przy ulicy Narutowicza 19 w Lublinie, ze szklanym sufitem i szklaną ścianą zasłanianą szarymi zasłonami. Było to Twoje "atelier".

*

Miała w sobie ta buda jakiś klimat, coś cygańskiego: ni to dom, ni to pracownia, w środku piecyk żelazny, dużo światła – i zawsze pełno znajomych.

*

8

HELENA HARTWIG

FOT. EDWARD HARTWIG

Teraz dopiero zdaję sobie sprawę, że ludzie jakby przeczuwali, że próbuje się tam robić coś nowego, coś odmiennego, niż w innych pracowniach fotograficznych.

*

Może to i prawda. Od początku okrzyknięto mnie "artystą". Okazało się jednak, że właśnie "artysta" jest tym człowiekiem, któremu najtrudniej będzie zadowolić klientów. Myślę, że przeciętny fotograf lubelski mniej miał na co dzień kłopotów w swojej pracy niż ja. Zajmowało mnie wówczas operowanie światłem w portrecie. Wyniki budziły często najżywsze protesty modeli. A że to nie ja płaciłem tym modelom, ale one mnie – musiałem wreszcie – choćby zgrzytając zębami – ustępować. Obwiniałem ich oczywiście o brak kultury, próżność, zamiłowanie do kosmetyki fotograficznej. Dziś myślę, że byłem trochę niesprawiedliwy. W końcu nawet wielcy malarze renesansu dostosowywać się musieli do gustów swoich mecenasów, a cóż dopiero młody fotograf lubelski o nieznanym jeszcze dobrze nazwisku wykonujący zamówienia klientów.

*

Do Twojego zakładu przychodziło wielu ciekawych ludzi, nie tylko artystów, ale i szacownych obywateli miasta Lublina.

*

Ci szacowni obywatele byli najczęściej wielkimi przyjaciółmi sztuki. Lublin miał wielu ludzi sympatyzujących z jej młodszymi adeptami.

*

Myślisz o środowiskach skupionych w Towarzystwie Przyjaciół Lublina? Wokół muzeum, a przedtem – wokół pisma literackiego "Reflektor"? Pamiętam, że spotkałam raz u Ciebie Józefa Czechowicza. Chodziłam jeszcze wówczas do gimnazjum, ale znałam jego wiersze, i przyglądałam mu się z prawdziwym nabożeństwem.

*

Tak, Czechowicz wpadał czasem na pogawędkę. Podobnie jak Gralewski, Chomicz, Makarewicz, Witkowski i wielu innych. Fotografowałem go, a i on, zdaje się przynosił jakieś własne fotograficzne próbki. Nie rozstawał się z fajką, z którą było mu bardzo do twarzy, choć stale mu gasła. Bywali u mnie również malarze lubelscy, niedoszli moi koledzy po palecie, Zenon Kononowicz, którego na pewno pamiętasz, Stanisław Filipiak, Stanisław Karamański z Kazimierza, Stanisław Michalak, Jerzy Pleśniarowicz oraz Zygmunt Kałużyński i Stanisław Gawarecki.

*

Zdaje się, że często zasięgano Twojej fachowej rady w pierwszych fotograficznych poczynaniach. Niektórzy nawet uważali, że niepotrzebnie trwonisz czas na takie głupstwa jak przesiadywanie w laboratorium z byle amatorem.

*

Słyszę to czasem i dzisiaj. Ale ja nie uważam tego za stratę czasu ani za głupstwa. Chętnie dzielę się tym, co umiem. Staram się też w miarę możliwości nikomu nie odmawiać porady w dziedzinie, na której sam zjadłem zęby. Jestem często powoływany do jury konkursów amatorskich w Domach Kultury, mamy przecież w Polsce Federację Amatorskich Stowarzyszeń Fotograficznych i ruch amatorski jest u nas bardzo żywy. Żebyś wiedziała, jakie znaczenie ma dla tych ludzi fakt, że okazuje się im zainteresowanie. Nie mam także żadnych niechęci do wieczorów autorskich. Przyznaję natomiast, że nie znoszę zebrań administracyjnych ani czczych dyskusji pseudozawodowych. Na szczęście nie jestem do tego zmuszony. Naprezesowałem się już, naprezentowałem, teraz uzupełniam swój dorobek.

*

Czy uważasz, że Lublin i środowisko lubelskie wywarły wpływ na kształtowanie się Twoich losów zawodowych?

*

Ogromny. Lata spędzone w Lublinie były dla mnie początkowo niełatwe, ale otrzymałem jakby pierwszy chrzest artystyczny. Jak to się mówi – poznano się na mnie. Ani przez chwilę nie cierpiałem z powodu niezrozumienia lub braku sympatii ze strony osób, które szanowałem i na których opinii mi zależało. A zetknąłem się tam z grupą ludzi nie tylko kulturalnych, wykształconych i interesujących, ale i niezwykle zacnych. Ludzie ci, na ogół starsi ode mnie, a często cieszący się ustaloną renomą osobistą i zawodową – niezwykle życzliwie potraktowali mój debiut w fotografii. Oglądano moje portrety, moje pejzaże, czekano na nie, była to publiczność chętna i nie zblazowana.

*

Czy zetknąłeś się z nimi już po Twoich studiach w Instytucie Graficznym w Wiedniu?

*

Wielu z nich poznałem przedtem. Mieszka dotąd w Lublinie sędziwy już, wielki mój przyjaciel, Wiktor Ziółkowski, uczeń Wyczółkowskiego, zaraz po wojnie dyrektor Muzeum Lubelskiego. Człowiek ten towarzyszył zawsze wszystkiemu, co się w Lublinie w dziedzinie kulturalnej działo i organizowało. Sam raczej materialnie niezapobiegliwy i małych potrzeb, był zawsze moralnym opiekunem poetów i malarzy. Znał ich wszystkie wiersze i obrazy, był zamiłowanym bibliofilem i – jak się okazało – miłośnikiem fotografii.

*

Masz jego piękny i bardzo charakterystyczny portret: jakby chuda twarz mnicha z obrazów Ribeiry. Spotkałam go kiedyś, jeszcze jako uczennica, z numerem naszego uczniowskiego pisma "W słońce". Niestety, nie wyszedł z tego nowy "Reflektor", z następcami Czechowicza.

*

Wiktor Ziółkowski bardzo dokładnie śledził moją pracę. Miałem wystawioną na ulicy szklaną gablotę ze zdjęciami i zmieniałem je dosyć często, uważając ją za małą ekspozycję moich prac.

Prawdę mówiąc, zmieniałem ją na ogół z myślą o nim, o tym, co mi powie. Zawsze mówił szczerze swoje zdanie. I że świetnie, i że okropne. Bardzo go za to szanowałem.

*

Pan Wiktor był również zamiłowanym etnografem. Chciał mnie zainteresować sztuką Lubelszczyzny. Wskazywał jej ośrodki, zwracał moją uwagę na architekturę wiejską i sakralną Lubelszczyzny, starał się mojemu upodobaniu do pejzażu nadać ogólniejsze tło kulturowe i obyczajowe.

*

W Lublinie była liczna grupa ludzi o podobnych do Twoich zamiłowaniach.

*

Tak, byli to przedstawiciele najrozmaitszych dziedzin, często bardzo wybitni. Znajdowali się wśród nich profesor Gerard Ciołek i Stefan Du Château, obaj świetni architekci i dobrzy fotografowie, zresztą moi koledzy z gimnazjum; konserwator lubelski i znakomity znawca architektury i zabytków lubelskich, Zygmunt Gawarecki, też kolega szkolny; i inżynier architekt Tadeusz Witkowski, który wiele podróżował, co nie było tak powszechne w świecie ówczesnym jak dziś, i przywoził z tych podróży ciekawe relacje, którymi się z nami dzielił.

*

Nieco później zbliżyłem się ze świetnym pianistą Władysławem Kędrą i poznałem młodziutkiego wówczas, a znakomitego dziś dyrygenta i kompozytora, Andrzeja Markowskiego, lublinianina. Byli wśród nich wreszcie ludzie nie zajmujący się bezpośrednio sztuką, ale żywo nią zainteresowani: inżynier Marczewski, architekt i doskonały fotograf, magister Stanisław Magierski, mecenas Stanisław Steliński. Ich zebrania towarzyskie obracały się wokół muzyki, wystaw malarskich i własnych odkryć regionalnych. Rozmowy te były pouczające, zwłaszcza dla kogoś tak jeszcze nieprzetartego jak ja wówczas.

Staraniem tego środowiska powstało Lubelskie Towarzystwo Fotograficzne, które nawiązało stosunki z innymi podobnymi towarzystwami w Polsce i najwybitniejszymi fotografami. Patronował im mistrz tego okresu, Jan Bułhak. Towarzystwo budziło zainteresowania starym Lublinem, folklorem, jeżdżono do miejscowości, gdzie folklor się zachował. Na przykład do Krzczonowa: tamtejsi chłopi nosili jeszcze, często na co dzień, a zawsze od święta, brązowe, wełniane sukmany i graniaste czapki.
Skoro mowa o krajoznawstwie: był taki doktor Orłowski w Warszawie, zasłużony działacz polskiej turystyki, pracujący w PTTK...

*

Pamiętam, że dostawałeś od niego duże koperty wypchane listami i maszynopisami.

*

Właśnie. Były to opisy pieszych wędrówek, jakie odbywał po Polsce z grupą równie jak on zapalonych wędrowców. Albo harmonogramy planowanych wypraw. Wszystko tam było obliczone co do godziny, wskazane połączenia autobusowe, noclegi, opisane ścieżki i szlaki. Kilkakrotnie przyłączałem się do tych wycieczek bodaj na dwa, trzy dni. Wiedziałem, że znajdę jej uczestników oznaczonego dnia w oznaczonym dokładnie miejscu, na kwaterze u chłopa, leśniczego lub księdza.
Doktorowi Orłowskiemu podobały się moje pejzaże, które zauważył na jakiejś wystawie czy w jakimś piśmie, przypadły mu do gustu i serca, i postanowił pokazać mi zakątki, których nie znałem, jak najwięcej z tego co sam widział i czym się entuzjastycznie umiał zachwycać.
Pokładano we mnie wówczas tyle nadziei i spodziewań, że wstyd byłoby, gdybym je zawiódł.

*

Potem takie wyprawy urządzałeś już na własną rękę.

*

Tak. Z zamiłowania i potrzeby zawodowej. Każdy człowiek fotografujący wie, ile poszukiwań

i czasem powrotów w to samo miejsce – w różnych warunkach, w różnym oświetleniu i w różnych porach roku – kosztuje nieraz jedno zdjęcie. Zdarzają się, oczywiście, i szczęśliwe przypadki, znakomite kompozycje, które podsuwają się niejako same, ale to naprawdę rzadkie.

*

Masz wiele zdjęć z podróży zagranicznych, również w tym albumie. Czy fotografowanie nie przeszkadza Ci w zwiedzaniu i poznawaniu?

*

Odpowiem Ci na to: bardziej zazwyczaj żałowałem, że nie mam przy sobie aparatu, niż że go mam. Porzucenie obiektu lub sytuacji, które wydają mi się ciekawe – bez sfotografowania ich – jest dla mnie najgorszym wspomnieniem, niemal śni mi się po nocach. Wielokrotnie jednak zdjęcia opóźniały mnie w zamysłach krajoznawczych, zatrzymywały w jednym miejscu, co gorsza, zatrzymywały innych ludzi, jeśli byłem w licznym towarzystwie. Czuję konieczność notowania aparatem.

Mimo, że niezwykłość mnie pociąga i lubię tematy nowe, chętnie jednak wracam do rzeczy znajomych i bliskich. Wiem, że najpiękniejszy nawet fotogram pejzażu, spoza sfery dobrze mi znajomej, z innego klimatu i odległej mi kultury nigdy nie będzie wynikiem takiego zżycia się z atmosferą i takiego zrozumienia, jakie mam dla krajobrazów najbliższych, zwłaszcza Lubelszczyzny i południowych części Polski, do których bezustannie powracam. Nie muszę zresztą wyjeżdżać w poszukiwaniu tematów. Gonią mnie one również w Warszawie, która stała się dla mnie od lat drugim miastem rodzinnym. Zaadoptowałem się tu. Patrzę na to miasto jak rodowity warszawiak. I takie je też fotografuję.

*

FOT. HELENA HARTWIG

EDWARD HARTWIG

SWOJE OBRAZY FOTOGRAFICZNE ROBIŁEM DO TAPCZANU

EDWARD HARTWIG

Lublin to gniazdo mojej rodziny. Oczywiście tęsknię za nim. Chowam w pamięci serdeczny obraz miasta mojego dzieciństwa. Tam się wychowałem, tam urodziły się moje córki, tam miałem przyjaciół. Jest to miasto, które może się podobać, do którego można wracać, którym można się chwalić. Przyjeżdżam do Lublina, jeżeli tylko mogę. Niestety jestem czasowo ograniczony. I mam swoje lata. Czasem odwiedzam podwóreczka Lublina z moją siostrą Julią i mówimy: tu mieszkał taki, a tu mieszkała taka. Mam wspomnienia nie tylko formy, ale i wnętrza osobistego.

Wstawałem więc o czwartej i szedłem nad Bystrzycę. Była większą rzeczką niż dzisiaj i stały tam takie chaty strzechą kryte. Prymitywne, lecz pełne uroku. Na tamte czasy uważano, że bardzo polskie i nikt się tego nie wstydził. Tam robiłem moje obrazy fotograficzne.

Bułhak był presją dla ludzi, którzy mieli aparaty. On wskazał, róbcie swoje otoczenie, róbcie swoje ojczyste pejzaże. Jego zasługa dla polskiej fotografii była olbrzymia. Polska fotografia pejzażu przeważnie naśladowała prace Bułhaka. Wówczas wszyscy się kochali w nowym polskim kraju. Mnie jednak nie wystarczało kalkowanie krajobrazu Polski. Sposób mojego patrzenia nie tworzył dokumentu. Robiłem pejzaże zupełnie inne: impresjonizm.

Swoje obrazy fotograficzne robiłem do tapczanu. Nikomu nie pokazywałem – gdybym nawet chciał komuś zaproponować, to w tamtym czasie nie było magazynów, nie było albumów. Nie było możliwości prezentacji.Przed wojną wydawano magazyn “As” w Krakowie. Później miałem tam sześć czy siedem okładek. Co było wielką niespodzianką, że mnie znaleźli w Lublinie na prowincji. “As” to było czasopismo ekskluzywne. Zyskałem nazwisko.

EDWARD HARTWIG

11

FOT. HELENA HARTWIG

EDWARD HARTWIG

PRACOWNIA NA NARUTOWICZA

12

EDWARD HARTWIG Z CÓRKAMI EWĄ I DANUTĄ W PRACOWNI PRZY ULICY NARUTOWICZA 19

KOBIETY NIOSĄCE NABIAŁ DO MIASTA

FOT. EDWARD HARTWIG

Na zdjęcia wychodziłem wcześnie rano. A wtedy po przedmieściach Lublina kończących się torfowiskami wędrowały mgły. Mgły unosiły się w dolinie Bystrzycy, snuły po leśnych drogach, gdzie czatowałem z aparatem na wieśniaczki niosące w zawiniętych w chusty koszach prowiant do miasta. Patrzyłem, którędy idą, wyszukiwałem odpowiadający mi fragment krajobrazu i kiedy wracały z miasta – fotografowałem.

Pracownia, którą kiedyś mój ojciec wybudował po przyjeździe z Moskwy, przypominała pracownię malarza. Miała przeszklone ściany i sufit. W środku romantycznie rosło drzewo, ponieważ architekt miasta nie zgodził się na jego wycięcie. Ogrzewało się za pomocą żelaznego piecyka, wodę nosiło kubełkami z podwórka. A do płukania zdjęć służyła balia.
Nie tylko jednak warunki oddaliły mnie od tego, co poznałem w Wiedniu. Na nowoczesną fotografię nie było po prostu zapotrzebowania. Powróciłem do zawodu portrecisty. Moi klienci wywodzący się z kręgów lubelskiego ziemiaństwa mieli tradycyjne wyobrażenia, jak ich konterfekty powinny wyglądać. Z własnych poszukiwań w dziedzinie fotografii jednak nie zrezygnowałem. Zrozumienie znajdowałem w kręgu przyjaciół z ówczesnej bohemy artystycznej Lublina. Liczyło się dla mnie to, że oni mnie akceptują. Bliskie więzy łączyły mnie wtedy z malarzem Zygmuntem Gąsiorowskim i poetą Józefem Łobodowskim.

Byłem zaprzyjaźniony z Józefem Czechowiczem. Pamiętam go jako skromnego, bardzo sympatycznego człowieka. Cichutko mówił, wolno chodził. Przyszedł kiedyś do pracowni na pogawędkę. Trzymał w ręku maleńki aparat fotograficzny dając znak, że mamy podobne zainteresowania. Często rozmawialiśmy o Lublinie, o jego zaniedbanych, biednych przedmieściach. Wielokrotnie przemierzałem i fotografowałem te rejony miasta. To są właśnie zaułki, torfowiska, wierzby. Fotografie bardzo proste, ale bardzo polskie pejzaże. Pokazywałem Czechowiczowi moje prace. Oglądał i zamyślał się długo nad nimi.

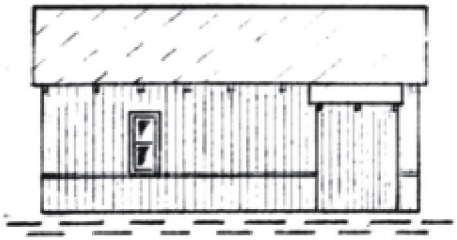

WIDOK FRONTOWY

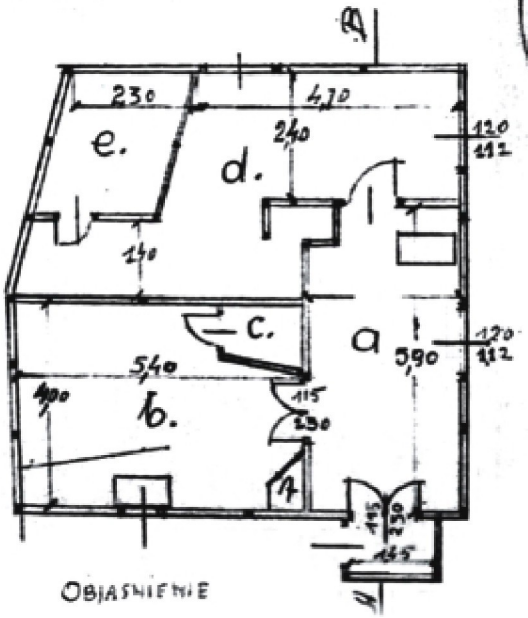

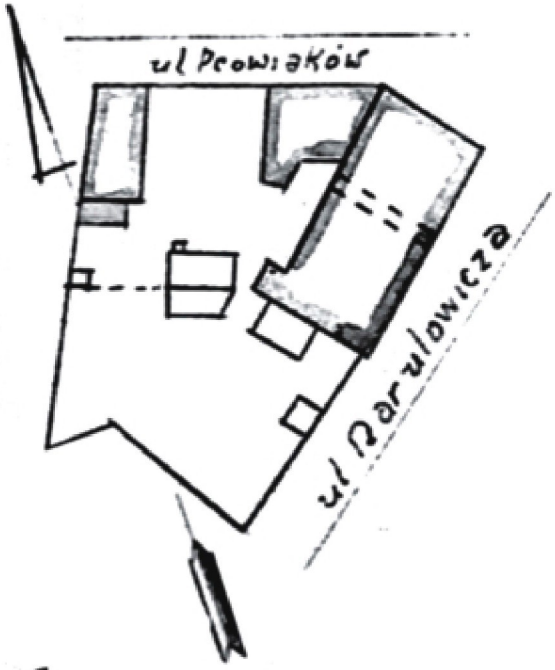

PRZEKRÓJ A-B

OBJAŚNIENIE

a POCZEKALNIA
b POKÓJ do ZDJĘĆ
c CIEMNIA
d MAGAZYN
e SKŁAD WĘGLA
f PODRĘ MAG FOTOGRAF

24. VI 1948 r

Wykonał

PLAN

Zakładu Fotograficznego
w Lublinie
przy ul. Narutowicza Nr. 19
wł. E.Hartwiga

EDWARD HARTWIG

LUBLIN, KTÓREGO JUŻ NIE MA

15

LATA TRZYDZIESTE XX WIEKU

BRAMA GRODZKA, WIDOK OD STRONY DZIELNICY ŻYDOWSKIEJ

FOT. EDWARD HARTWIG

Lublin, Stare Miasto, dzielnica żydowska, to była kopalnia fotografii (...) Przyjaźniłem się z dyrektorem Muzeum Lubelskiego, panem Ziółkowskim. Sam zaniedbany, biedny, wspierał jednak jak mógł, szczególnie malarzy, i to on mnie ciągle popychał, żeby te żydowskie tematy fotografować. Podzamcze, mówiąc językiem człowieka wrażliwego, było genialne do malowania, do fotografowania, ten prymityw, ten strój, te ubiory, zarośnięte i brodate twarze, bardzo ubogie chałupy na Podzamczu.

Właściwie wszystko zaczynało się od Bramy Grodzkiej. Nie było tam oczywiście kanalizacji. Mieszkali tam szewcy, krawcy, mieli jakiś kąt do spania, dosłownie kąt, a właściwie pracowali na wolnym powietrzu – okropnym powietrzu, bo nie było tam czym oddychać. Jednocześnie była piękna architektura, był ciekawy sztafaż, ruch na ulicach, handel w sklepikach i na ulicach. Oczywiście Żydzi mieli talent do handlu. Małą część stanowili rzemieślnicy, większość handlowała. Najczęściej żywnością. Sprzedawano makagigi zrobione z maku, jabłka marynowane, które wystawiane były w dużych beczkach, kapustę kiszoną i różne specjalności, które tylko u Żydów można było kupić, oczywiście śledzie itp. Wszystko to było wystawione przed wejściem do domu, na ulicy.

Patrząc z punktu widzenia dzisiejszych czasów można być zdumionym, że mimo takiego prymitywu nie było masowych chorób. Czy organizmy były tak silne? Nie wiem na czym to polega, nie umiem tego wytłumaczyć – epidemii żadnych nie było, warunki higieniczne nie były lepsze i na wsi. W tamtych czasach wiejska ludność dostarczała do miasta bezpośrednio żywność – mięso, masło, ser do domów, każdy miał jakiegoś chłopa, który go zaopatrywał w niektóre produkty. Przychodzili rano, o świcie, pamiętam, że do mojego domu też przynosili znakomite masło, sery, wędliny własnego wyrobu. Robili to w bardzo prymitywny sposób, lodówek nie było i katastrofy z tego powodu też nie było. Tak, że nie tylko Żydzi tak handlowali, ale i wieś żyła z tego miasta w sposób jakiego dzisiaj nie ma. Ale to był folklor bardzo fotogeniczny.

FOT. EDWARD HARTWIG

BRAMA KRAKOWSKA

Wiemy, jak to miasto wyglądało – obdrapane, zniszczone, brudne, zaśmiecone, ale wszyscy lubili to miejsce. Kiedy później Lublin zaczął się rozbudowywać, ludzie nie chcieli wymieniać mieszkań, tak zżyli się z tymi niewygodami, z tym prymitywem. Ja sam chętnie tam przebywałem, nie tylko z aparatem, chciałem być w tym środowisku, ono mnie cieszyło, nie fascynowała mnie fotografia, fascynowali mnie ci ludzie, którzy tam byli, od księży począwszy a skończywszy na chłopach, na rybakach rzecznych, bo wtedy można było od nich także świeżą rybę kupić. To były takie atrakcyjne rzeczy, ciekawe, ja nie bardzo rozumiałem ten pejzaż, nie dostrzegałem jeszcze, że jest on taki piękny. Bardzo podobał mi się Kazimierz nad Wisłą, a szczególnie imponowała mi grupa malujących tam malarzy. Sam miałem kiedyś ambicje malarskie.

Jak ja widziałem Lublin?

Kiedy dzisiaj patrzę na ten album, który zrobiłem o Lublinie i na którego okładce jest Brama Krakowska, dopiero teraz zdaję sobie sprawę, że tamtędy wchodziło się do innego miasta, gdzie była starzyzna, zaniedbane domy, targowe, inne ulice, które jak w wielu innych miastach, czystością nie grzeszyły. Ale to wszystko okryte było szlachetną patyną wieków, te podwóreczka, te drewniane schody.

Był taki okres, że chodziłem tamtędy od bramy do bramy i odkrywałem we wnętrzu nieznane skarby, wewnętrzne balkony drewniane obiegające całą kamieniczkę, drewniane schodki, malownicze dobudówki, ogródki, drzewka. Był też taki czas, że zaprzyjaźniłem się z kominiarzami i wchodziłem z nimi na dachy, żeby zobaczyć miasto z lotu ptaka. Aż wreszcie wsiąkłem w ten Lublin i dopiero fotografując go zdałem sobie sprawę ze znaczenia jakie dla moich zdjęć mają pory roku i pory dnia, zwłaszcza poranek, kiedy o świcie podnoszą się pierwsze poranne mgły.

OKRUCHY DZIECIŃSTWA

JULIA HARTWIG

Moja matka była Rosjanką i moje rodzeństwo przyszło na świat jeszcze w Moskwie, tylko ja, najmłodsza urodziłam się w Lublinie. W moim domu nie przechowały się co prawda żadne tradycje rosyjskie lub prawosławne, ale pamiętam wrażenie, jakie robiły na mnie wielogodzinne nabożeństwa wielkanocne w cerkwi. To było dla dziecka wielkie przeżycie, mimo zmęczenia, a może nawet nudy, ale dziś to wspomnienie ma w sobie coś bajkowego.

Rzadko wracam do dzieciństwa, chociaż był to szczęśliwy czas. Wielu poetów czerpie swą siłę z zasobów dzieciństwa, ja nie umiałabym chyba ich spożytkować. Z czasem jednak dokonała się we mnie jakby mitologizacja Lublina. Stąd m.in. "Elegia lubelska" . Poczułam się winna wobec tego miasta, przepięknego i ciepłego ciepłem kresowej prowincji. Kto się tam wychował, słyszał różne języki, stykał się z tradycją rosyjską, ukraińską, żydowską. Kiedy tam powracam, czas dzieciństwa, które spędziłam w tym mieście, wydaje mi się znów godzien wskrzeszenia.

LUBELSKIE ULICE I PODWÓRKA

JULIA HARTWIG

KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE Z WIDOKIEM NA KOŚCIÓŁ ŚW. DUCHA

FOT. LUDWIK HARTWIG

Zapamiętałam dobrze dom i podwórko na ulicy Staszica, gdzie mieszkaliśmy. Właścicielem domu był pan Domański, do niego też należała kawiarnia Semadeni na rogu Staszica i Krakowskiego Przedmieścia. Była to elegancka kawiarnia w stylu wiedeńskim, gdzie można było przeczytać gazety i napić się dobrej, pachnącej kawy. W lokalu tym bywali przeważnie starsi panowie, młodzież nie miała wówczas zwyczaju chodzić do kawiarni.
Okna piekarni wyrabiającej ciastka dla Semadeniego wychodziły na nasze podwórko, które wypełnione było zawsze zapachem lukru, wanilii i rumu. Zapach ten należy do wspomnień moich najwcześniejszych lat.

Pamiętam, że na ulicy Świętoduskiej była piekarnia turecka z tureckimi słodyczami. Specjalność stanowiły smakowite rożki, ciastka z miodem i z orzechami. Były też na Starym Mieście piekarnie żydowskie, w których można było kupić placki z cebulą i bajgle, a także bardzo smaczne chleby. W czasie wojny, po zbombardowaniu zakładu na zapleczu Hotelu Europejskiego, ojciec wynajął w pobliżu targu, właśnie na ulicy Świętoduskiej, pomieszczenie na pięterku i pracował tam przez cały okres okupacji.

Życie podwórek lubelskich było dosyć szczególne. Nieustannie pojawiali się na nich różnego rodzaju sprzedawcy i rzemieślnicy. Popisywali się tam również uliczni śpiewacy wykonujący tradycyjne lub własnego autorstwa ballady; pamiętam doskonale te zawijane w papierek grosze, które się im rzucało z okna.

Do pojawiających się regularnie domokrążców należeli specjaliści ostrzący noże. Niejednokrotnie wynosiłam im z domu noże do ostrzenia. Pojawiał się też od czasu do czasu szklarz z ciężką skrzynią pociętych szkieł, przymocowaną skórzanymi pasami do pleców.

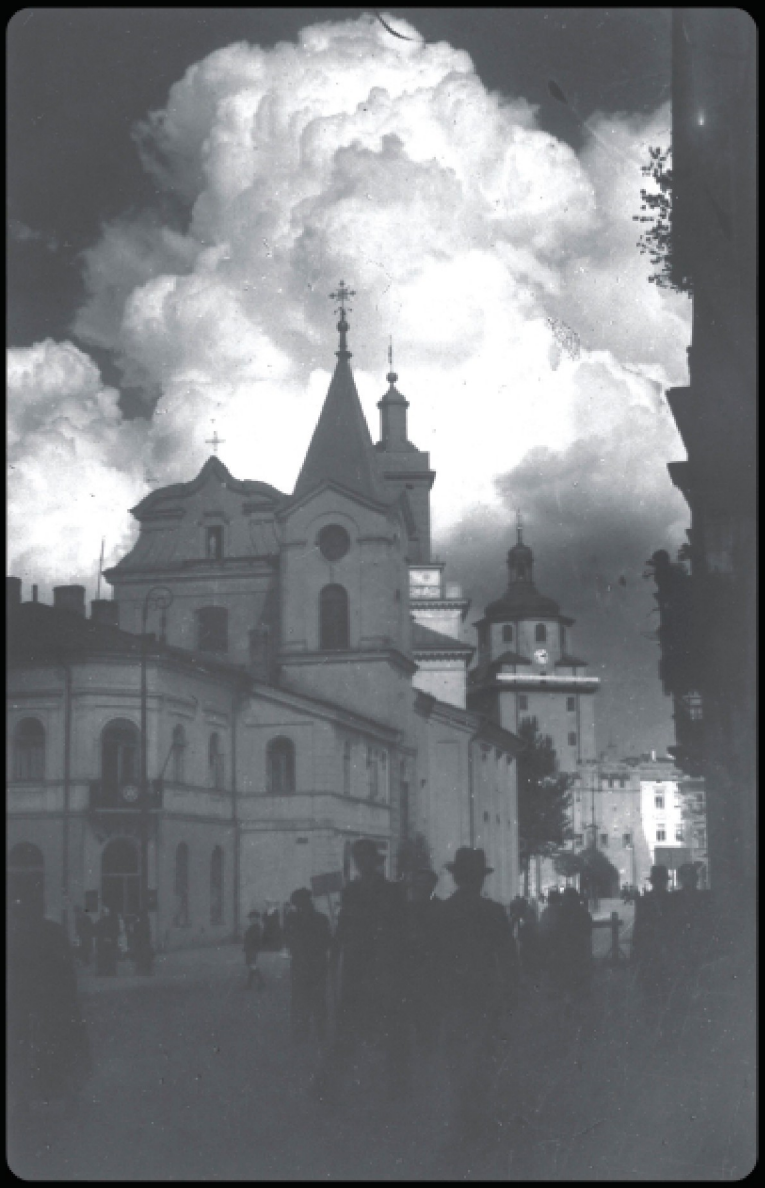

18

FOT. EDWARD HARTWIG

KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE Z WIDOKIEM NA KOŚCIÓŁ ŚW. DUCHA

Donośnym wołaniem ogłaszali swoje pojawienie się również objuczeni workami handlarze starzyzną, którzy skupowali wszystko, co się zdarzy. Każdy z domokrążców miał inne zawołanie i własną melodię. Tylko kobiety dostarczające ze wsi nabiał, milczały wstydliwie, wyręczały je przekupki sprzedające ich towar.

Warto też wspomnieć o sprzedawcach dywanów. Handlowali nimi ludzie o egzotycznym wyglądzie, często byli to Turcy lub inni przybysze z Bliskiego Wschodu. Do drzwi stukali akwizytorzy, którzy sprzedawali kosmetyki, porcelanę, obrusy, eliksiry i wody kolońskie. Zaglądały na podwórka kobiety z bańkami mleka zawiniętymi w prześcieradła zawiązane na plecach; mleko sprzedawały na targu, albo przynosiły wprost do mieszkania.

Przed zimą pojawiały się na podwórkach wozy z węglem i węglarze z twarzami czarnymi od pyłu. Z wozu zsypywano węgiel do piwnicy, albo wnoszono na wewnętrzne drewniane balkony, tak charakterystyczne dla kamienic lubelskich, gdzie mieściły się zamykane na kłódki schowki.

Latem ustawiali się na ulicach ze swoimi wózkami sprzedawcy wody sodowej; największym powodzeniem cieszyła się woda z sokiem wiśniowym i malinowym. Nie było to bardzo higieniczne, szklanki płukane były niedokładnie, ale amatorów na wodę nigdy nie brakło. W wafelkach przypominających kształtem ciastka sprzedawano też tak zwaną panieńską skórkę, przypominającą niezbyt słodkie cukierki i, oczywiście, watę cukrową, którą sprzedaje się w Warszawie jeszcze dzisiaj; największym popytem cieszyły się łakocie u wejścia do Ogrodu Saskiego. Jednym z ulubionych napojów był kwas, który przyszedł do nas najprawdopodobniej z Rosji, gdzie jest bardzo popularny. Był to kwas chlebowy, do którego wrzucało się kilka rodzynków;

FOT. LUDWIK HARTWIG

MAGISTRAT

ULICA GRODZKA

FOT. EDWARD HARTWIG

pamiętam, że taki kwas robiło się u nas w domu i przechowywało się go w chłodnej piwnicy. Powodzeniem cieszyły się też różnego rodzaju makagigi i ciągutki przypominające dzisiejsze toffi.

Na ulicach Lublina łatwo było po ubraniach rozpoznać pochodzenie społeczne mijanych przechodniów. Ziemianie rozpoznawani byli zimą po wspaniałych kożuchach, latem po starannie dobranych garniturach. Ale na Krakowskim Przedmieściu widywało się też Żydów w jarmułkach i chałatach i chłopów w strojach ludowych; różnorodność typów i sposobów noszenia się była uderzająca.

FOT. EDWARD HARTWIG

21

PANORAMA STAREGO MIASTA

(...) Niezapomniane jesienne poranki lubelskie... Kamieniczki ulicy Olejnej toną w złotej mgle, unoszącej się z łąk nadbystrzyckich. Plac Farny, pokryty zwiędłymi liśćmi, robi wrażenie wielkiego okna, z którego rozciąga się szeroki widok na okolice przyzamkowe. Wczesny przechodzień nierzadko natknąć się mógł o tej porze na malarza pracującego pilnie przy rozstawionych sztalugach (...) Lubelskie poranne mgły, lubelskie noce księżycowe, udziwniające swym blaskiem gzymsy starożytnych kamienic i fantastycznie sfalowane bruki, znalazły w artystach lubelskich wielu swoich piewców.

Kochamy miasto rodzinne za wspomnienia naszego dzieciństwa i młodości. Minęły dziesiątki lat, a ja wciąż oglądam dziecinnymi oczami skwer na Placu Litewskim i nieprzebyty w swoim ogromie dla dziecięcych nóg Ogród Saski, zachwycają mnie wyczyszczone do blasku litery na Hotelu Europejskim, wdycham mocny zapach mielonej kawy, dolatujący z eleganckich sklepów kolonialnych w pobliżu kościoła Kapucynów, czuję na języku niezapomniany smak czekoladowych ciastek od Semadeniego, mam w uszach zgiełk panujący w dni targowe na Świętoduskiej i urzeka mnie wspomnienie ożywionego ruchu w okolicy ulicy Lubartowskiej, gdzie kupcy żydowscy w czarnych kapeluszach i w chałatach namawiają przechodniów do odwiedzenia ich ciasnych sklepików pełnych wszelkiego handlowego dobra.

Ulica Grodzka i Podzamcze, zamieszkane były w czasach międzywojennych przez biedotę polską i żydowską, prowadzącą często handel uliczny, co nadawało tej części miasta swoisty charakter. Z perspektywy lat ta właśnie okolica budzi wspomnienia najbardziej poruszające wyobraźnię, najbardziej malarskie, a przecież jakby przesłonięte mgłą tajemnicy i nostalgii. (...) Pamięć przywraca tamte dni, przed oczami przesuwają się sceny i obrazy dziś już nie do powtórzenia: o wczesnym ranku zakutana w chustę stróżka zamiata brzozową miotłą

rozelśnioną w pierwszych promieniach jezdnię, wozem zaprzęgniętym w chudego konia wiezie senny woźnica węgiel, który wysypie zaraz na chodnik przy piwnicznym okienku, odzywają się dzwony w kościele dominikańskim i w Katedrze, w dzień świąteczny przejdzie ulicami staromiejskimi powolnym krokiem uroczysta procesja i rozniesie nabożny śpiew.

Z nadejściem zmierzchu zapalają się latarnie, z piekarń dolatuje zapach świeżego chleba i placków z cebulą, w dni szabasu w oknach wielu domów zapalają się świece.

22

ULICA ZŁOTA

FOT. EDWARD HARTWIG

JULIA HARTWIG

23

FOT. EDWARD HARTWIG

WIDOK NA ZAMEK Z KAPLICZKĄ ŚW. JANA NEPOMUCENA

ELEGIA LUBELSKA

Więc urodziłam się na tym skrawku ziemi
Co mam zrobić żeby poczuć się tutejszą?

1.
Budzi się w klasztornym hoteliku
przez okienko szeroki widok na okolicę
Jest ranek
ranek lubelski
Rozległą łąką nie-łąką między bujnymi lipami
wydeptaną ścieżką na skróty idą do pracy kobiety i mężczyźni
mijają Zamek i miejsce po synagodze
potem cerkiew i targowisko
Lublin
jeszcze nie kresy ale już kresy
haftowane ręczniki na stołach święte obrazki na ścianach
na jednych ikony na innych Jezus o płonącym sercu
pienia nabożne w różnych językach
i nieme powietrze w którym zastygł jęk pomordowanych
wepchnięte w gardła zawodzenie a potem cisza
wielka i ostateczna cisza z odorem duszącego dymu
i roznoszonych wiatrem łachmanów

2.
Na cmentarzu matka ojciec i siostra
Matka osobno pod kaplicą prawosławną samotna
tak jak musiała czuć się samotna
porzuciwszy rodzinną Moskwę
jej światła i gwarne promenady

W pobliżu grób Czechowicza
pochowanego wśród żołnierzy "poległych na polu chwały"
Zawsze ktoś przynosi tu kwiaty
bo trwa i nie poległa chwała jego wierszy
ich słodycz naruszona profetyczną wizją przyszłości
On jeden potrafiłby opłakać to miasto
on który rzucił na nas czar jego sennej piękności
księżyca *który upadnie w rynku miskę*
potrafiłby uczcić pochody widm które się tu snują
znaleźć modlitwę na dusz *cierpiących upalenie*

3.
A ja mała wtedy dziewczynka
chłonąca ten świat ciemny ruchliwy pełen zgiełku
i okrzyków w niezrozumiałym języku

które cichną nagle w piątkowe wieczory
kiedy przez okna połyskują światła zapalonych świec
w gęstym mroku Grodzkiej i Szambelańskiej staroświecka latarnia
rzuca blade ruchliwe blaski na pochyłe ściany domów

4.
Odwróćcie wzrok ode mnie bramy mojego miasta
bramy miejskie żarłoczne bramy
przez które uszło życie z tych ciemnych uliczek
O wieże rodzinnego miasta
goniłyście mnie po świecie groziły
nic wam nie jestem winna nieczułe olbrzymy
które przetrwałyście nie uroniwszy ani jednej łzy
nad miastem mojego dzieciństwa

24

LUDWIK HARTWIG Z SYNAMI WALENTYM I EDWARDEM

NIEPOTRZEBNE SKREŚLIĆ

Było nas pięcioro
Skąd przyszło do głowy rodzicom żeby rodzić tyle dzieci?
Nazwiska trojga znalazły się w encyklopedii
Nie ma jednak pewności czy nie znikną w jej następnych wydaniach
ustępując miejsca komuś ważniejszemu
Jeśli jednak same talenty okażą się mało trwałe
być może pozostanie coś co kiedyś
zapewniało dobre imię: przyzwoitość
“bonne souche” mówią Francuzi
a idzie po prostu o mniej więcej czyste rachunki

Wszystko co w nas najlepsze pochodziło od matki
Ale ona szybko nas opuściła
nie mogąc podźwignąć ciężaru cudzoziemskości

Jeśli można tak to nazwać: kochaliśmy się wszyscy
Ale nasze drogi szybko się rozeszły

Jaki był nasz ojciec – nikt z nas tak naprawdę się nie zastanawiał
Jego energia przewyższała energię całej naszej piątki
Wciąż zapracowany nie zajmował się nami zbytnio
ku naszemu zadowoleniu

Nie sprawialiśmy mu zresztą większych kłopotów
życie prowincjonalne nie wystawiało nas na zbyt wiele pokus

Był fotografem starej daty
Zawód ani lepszy ani gorszy od innych
przed rewolucją żył w Moskwie z młodą żoną i małymi dziećmi prawie luksusowo
w Lublinie zdobył sobie należne mu miejsce i szacunek
coś na kształt lokalnej sławy

Najczęściej robił zdjęcia rodzinne i portrety
ale jego temperament sprawił że stał się pierwszym fotograficznym reporterem w swoim mieście
Potrafił przed wojną zatrzymać pochód pierwszomajowy
żeby zrobić demonstrantom zdjęcie
z wysokości rozstawionego na chodniku stołu
z którego jak strach na wróble sterczał statyw jego staromodnego aparatu
nakrytego ciemną płachtą

Kochał teatr i operę
i pracując w ciemni wygwizdywał melodie ulubionych arii
Palce miał zawsze brązowe od kwasów
ale moment ukazania się na papierze obrazu

który utrwalał minioną chwilę
napełniał go wyraźnym zadowoleniem

Miał bibliotekę rosyjskich klasyków w oryginale
i czytał wieczorami leżąc w łóżku
póki zmęczenie nie zamknęło mu oczu

Niechętnie wysupływał pieniądze na mój nowy fartuszek szkolny
i robił to tylko wskutek perswazji wychowawczyni klasowej
Zdarzało mu się jednak wydawać czasem pieniądze na rzeczy najzupełniej zbyteczne
na kryształowy wazon lub staroświecki zegar

Nieraz odprowadzał mnie do szkoły
Bywało też że przynosił mi na szkolną pauzę zakupioną w sklepie bułkę z szynką
polecając doręczenie woźnej która zamiast pilnować porządku
musiała uganiać się za mną po korytarzach lub po boisku szkolnym.

Nie miał zwyczaju ani czasu na prowadzenie z nami rozmów
był jednak dumny z naszych postępów w nauce
Wszyscy z nas mniej więcej wiedzieli czego chcą

Tylko mój najstarszy brat bardzo piękny
artysta z temperamenty i playboy w dawnym stylu
nie mógł się zdecydować co będzie robił dalej
kiedy zawiodły go talenty malarskie

Mieliśmy więc do czynienia z przyszłym lekarzem przyszłą pielęgniarką
i młodą mężatką która wydawała się zadowolona ze swego nowego stanu
nie snując dalszych planów
Najmłodsze kurczę nie sięgało jeszcze myślami poza gimnazjalne mury i czytelnię
gdzie równie dostępne były “Wiadomości literackie” “Pion” i “Prosto z mostu”

Dziś myślę że jeśli pozostawieni własnej samowoli
nie zrobiliśmy z niej najgorszego użytku
stało się tak dzięki wyniesionym z domu rodzinnego przekonaniom
że droga prosta jest najkrótsza
Dopiero po latach miało się okazać
że decyzja jest zawsze w rękach tego “co kule nosi”

Wkrótce po śmierci mamy ojciec ożenił się po raz wtóry
Moja starsza siostra wspomina
że do jej obowiązków należało poszukiwanie ojcowskiego kapelusza
który wciąż gubił się w dorożkach załadowanych fotograficznym sprzętem

Czasem zdawało mi się że pod tą rozwianą na wietrze płachtą aparatu
wzleci kiedyś w niebo gdy nadejdzie jego pora

Ale śmierć dosięgła go dopiero po kilku latach choroby
którą spędził unieruchomiony w łóżku
Cios losu jak zawsze celny uderzył go tak żeby najbardziej zabolało
bo ruchliwość jego była przysłowiowa

Lubił wspominać Moskwę Kijów i Odessę
po której ulicach toczyły się zrzucane z wozów ogromne kawony
będące dla niego symbolem beztroskiego dzieciństwa

Co do mnie – zawsze nie znosiłam fotografii
Gust do niej przywrócił mi dopiero mój najstarszy brat
który uczynił z niej dzieło sztuki
i był jedynym chyba znanym mi człowiekiem
który nie znał zawiści i nigdy nie powiedział o nikim złego słowa

MARJA HARTWIG Z DOMU BIRJUKOW ŻONA LUDWIKA HARTWIGA

PRZYWOŁYWANIE

Wyrwana prosto z gniazda starowierców,
z rodziny znanej mi tylko za zdjęcia,
gdzie widać ich wszystkich, siedzących za stołem w ogrodzie,
jak u Czechowa.

To moi wujowie i ciotki, a ten ponury starzec z siwą brodą
to mój dziadek.
Nie znam nawet ich imion, odróżniam tylko Kolę
którego matka kochała najbardziej
i do którego podobny jest jeden z moich braci.

Musiała żyć w niej pamięć o nieznanych przodkach,
o tych nieokiełznanych w głuchym fanatyzmie chłopach,
którzy kryli się w głębi najciemniejszych borów,
przed prześladowaniami wiary,
silniejszej niż ukazy cara i potężne prawosławie.
Ten upór, ta siła musiały tkwić w najtajniejszej głębi jej serca,
szarpanego nieustanną trwogą o los porzuconej rodziny.

Pewno lepsza była ta Polska od rewolucji, przed którą uciekła
z małymi dziećmi, za mężem Polakiem.
Polski obyczaj i polska mowa wypełniały jej dni codzienne i świąteczne,

noce mijały w szarpiącym ogołoceniu duszy.

W cerkwi gdzie bywała każdej Wielkanocy,
odnajdywała swój język.
Potężne jak organy, głębokie basy
w obłokach kadzidła
rozbrzmiewały w niekończących się błogosławieństwach i błaganiach.

Znak krzyża od prawego do lewego ramienia
radość odnalezionej wspólnoty po wyjściu ze świątyni,
w rzeźwym podmuchu wiosny pocałunki, uściski
i niesione z ust do ust Kristos Woskries! Chrystus Zmartwychwstał!

Mała, zaledwie od ziemi odrosła,
przyprowadzana za rękę,
tam poznawałam pierwszy smak oddalenia od tego co najbliższe
i drżeć zaczęłam by jej nie utracić.

Ale stało się że odeszła.
Hardość doprowadziła tę duszę do upadku nadziei tak głębokiego,
że postanowiła opuścić nas na zawsze.
Od takich postanowień nie ma już odwrotu.

Kiedy znaleźliśmy ją leżącą na dziedzińcu tamtego ranka,
wyglądała jakby po prostu idąc potknęła się i upadła.
O, mamo, jak to się stać mogło?
Z nas wszystkich ty jedna powinnaś była umieć latać.

NA CZEŚĆ MOICH BRACI

Dziękowaliśmy Bogu żeśmy się uchronili w czasach klęsk
rodzina która mogła się siebie doliczyć
Wyszliśmy z tego i udało się nam żyć dalej
Jeden brat powrócił po dwóch latach z surowej Północy
nie do rozpoznania na zdjęciu zrobionym podczas postoju
w Białej Podlaskiej: widmowa bladość na głowie sowiecka uszatka
obok niego dwaj współtowarzysze z obozu
jednego z najcięższych
Jogła
Wepchnięto ich do nor wykopanych w ziemi
i obleczono w niemieckie mundury
żeby nie budzili współczucia miejscowych
Osłabł tak że współtowarzysze wywlekali go siłą z legowiska
i ciągnęli trzymając pod ramiona ku rzece
gdzie pracowali przy spławianiu drzewa
Nogi zostawały mu w tyle gubił w drodze wypchane słomą chodaki
Nie pozwalali mu odstać
Pamięta im to
Dzięki nim jego opowieść o naturze ludzkiej
brzmi bardziej krzepiąco niż inne
Kiedy chorował wynosili go na powierzchnię
żeby mógł podziwiać zorzę polarną

Mówili: głupi ten Hartwig ale uszanowali w nim artystę
Drugiego brata – lekarza – sadzano na odwróconym stołku
przesłuchując ze zbrodni leczenia rannych z “Parasola”
Fagas o zatartych rysach zabierał go raz po raz z kliniki na Nowogrodzkiej
i seanse ciągnęły się z przerwami przez długie miesiące
Nie przeszkadzało to między jednym przesłuchaniem a drugim
wzywać go do chorych dostojników
był bowiem jednym z najlepszych w swoim zawodzie
a prawość była jedną z przyczyn dla których go dręczyli
Z własnej już chęci leczył Prymasa Tysiąclecia
który lubił z nim pogwarzyć w korytarzu
z daleka od podsłuchu pytając za każdym razem
Co słychać panie Walenty
Z wdzięczności za powrót brata z obozu
ślubował odbyć pieszą pielgrzymkę do Częstochowy
Kiedy z niej powrócił powiedziano mu:
Może pan zapomnieć o kierowaniu instytutem
Nie przyjął tego jako klęski
Przybiegał do nas w roku sześćdziesiątym ósmym
przybiegał w stanie wojennym niepokojąc się czy nas nie wzięto
Pamiętam jak spotkałam go na warszawskiej Pradze
podczas okupacji niemieckiej pogroził mi tylko palcem

zgadując jakieś kurierskie zadanie
Karmił mnie kiedy chodziłam na uniwersytet podziemny
bo przyszedłszy kiedyś do mieszkania które mi wyznaczono
zobaczył goły siennik i łyżkę wetkniętą w garnek z zaschniętą kaszą

Nie umiem nakreślić portretu moich braci

WALENTY HARTWIG

Tak
miał z pewnością dobrą pamięć i był świetnym diagonistą
Znakomity lekarz któż to zaprzeczy
Ale ja chwalę dziś dobrą pamięć
jaką po sobie pozostawił
ten dobry człowiek

PAMIĘCI W.

SIOSTRA

Po ucieczce z Rosji
tak mało mieli w Polsce bliskich
że wybrali mi na chrzestną moją starszą siostrę
która gdy dorosła zastępowała mi matkę
Myślę że nie miała łatwego charakteru
nie objawiała żadnych talentów
i z trudem ukończyła gimnazjum

Ponieważ nasz ojciec był osobą powszechnie szanowaną w mieście
uważano że zdeklasowała się
wychodząc za mąż za skromnego chłopca bez zawodu
Wypłacił się naszemu ojcu z nawiązką pielęgnując go w łóżku
przez długie lata niedołężnej starości

Byli najserdeczniejszymi z ludzi
żyli pokornie przyjmując swój los
jako sprawiedliwie odmierzony
nie wspinając się ku żadnym przywilejom ani zaszczytom

Owdowiała
chora
już po siedemdziesiątce

jedyna z rodziny która pozostała jeszcze w Lublinie
umarła w szpitalu
Podobno wzywała mnie w ostatnich chwilach
Nieprzytomna wodziła dłonią po ścianie
a kiedy pielęgniarka zapytała ją dlaczego to robi
odpowiedziała: Tam jest Władzio (to było imię jej męża)
Nie może tu wejść.

Głos łacinniczki był jakby trochę ostrzejszy,
kiedy się do nich zwracała.
(Nigdy po imieniu)
Miriam była zawsze doskonale przygotowana,
Reginka słabsza, ale poprawna.
Trzymały się razem
i razem wychodziły z klasy przed lekcją religii .

Ostatni raz spotkałyśmy się niespodziewanie u wylotu Lubartowskiej,
na granicy świeżo utworzonego getta.
Stały tam onieśmielone jakby przydarzyło im się coś wstydliwego.

FOT. EDWARD HARTWIG

27

BRAMA KRAKOWSKA

Wśród ciemnego milczenia sosen – krzyk młodziutkich nawołujących się brzóz
Wszystko jest jak było. Nic nie jest jak było.
Przemów do mnie, Boże dziecka. Przemów, niewinna trwogo.
Nic nie rozumieć. Wciąż inaczej. Od pierwszego krzyku do ostatniego westchnienia.
A jednak to też było życie. I chwile szczęśliwe wychodzą ku mnie z przeszłości jak panny z kagankami oliwy.

POWRÓT DO DOMU DZIECIŃSTWA

GUSTAW HERLING-GRUDZIŃSKI

DZIENNIK PISANY NOCĄ

3 GRUDNIA 1997 R.

Miłe miasto Lublin. Naturalnie plagiat z Piłsudskiego: miłe miasto Wilno. Plagiat wybaczalny. W jakiś sposób kresowy Lublin jest dziś naszym Wilnem. A ponieważ nigdy z w życiu w Wilnie nie byłem (wstyd!), dla mnie jest nim w dwójnasób. Oglądam powoli wydany właśnie album fotograficzny Edwarda Hartwiga (ze śliczną przedmową Julii Hartwig) "Lublin i okolice. Wspomnienie".(...) Podtytuł "Wspomnienie" nie został przez Hartwiga użyty bez kozery. To jest wspomnienie Lublina i okolic, które daje nie tylko wizerunek miłego miasta, ale jego ukrytą mitologię. Uchwycić mitologię miasta, zwłaszcza rodzinnego, udaje się jedynie prawdziwym poetom kamery. I, rzecz jasna, poetom sensu stricto. Wstęp Julii Hartwig przylega idealnie do pięknego albumu jej brata. Podobnie jak wstępny wiersz Józefa Czechowicza "Lublin z dala"– –cudownego poety polskiej prowincji.

Byłem w Lublinie trzykrotnie, za krótko, by mówić ze skromnym choćby znawstwem. Jest miły w takim, jak sądzę, sensie, jakiego domyślamy się w słowach Piłsudskiego o Wilnie. Zamknięty w swojej autonomicznej atmosferze wielokulturowej, rosnący po swojemu, zazdrosny o swój kształt dojrzałego tworu architektonicznego, niechętnie usposobiony do nowoczesnych zmian. Nie zamierzam, broń Boże, estetyzować; mój włoski przyjaciel był trochę przerażony lubelskim zastojem (chodził po Lublinie teraz i dwadzieścia lat temu). Ale kto ma duszę prowincjusza jak ja, zrozumie moje wzruszenie na widok okolic "zaniedbanych", "zapuszczonych", na widok uliczek na przykład (przy jednej zamieszkał za młodu Czechowicz), które lepiej omijać po zmroku. Zamek, Brama Grodzka, Brama Krakowska, Kaplica Świętej Trójcy – wszystko to prawda wysublimowana w miejskim pejzażu. Ale jak bije mocniej i szybciej, gdy nagle otwiera się wąski zaułek lub mały plac z niskimi kamieniczkami. A wieś podlubelska? Znowu Czechowicz:

"Siano pachnie snem
siano pachniało w dawnych snach

FOT. EDWARD HARTWIG

OKOLICE LUBLINA

popołudnia wiejskie grzeją żytem
słońce dzwoni w rzekę z rozbłyskanych blach
życie – pola – złotolite.”

Miłe, miłe miasto Lublin.

29

FOT. LUDWIK HARTWIG

CODZIENNY HEJNAŁ Z BRAMY KRAKOWSKIEJ

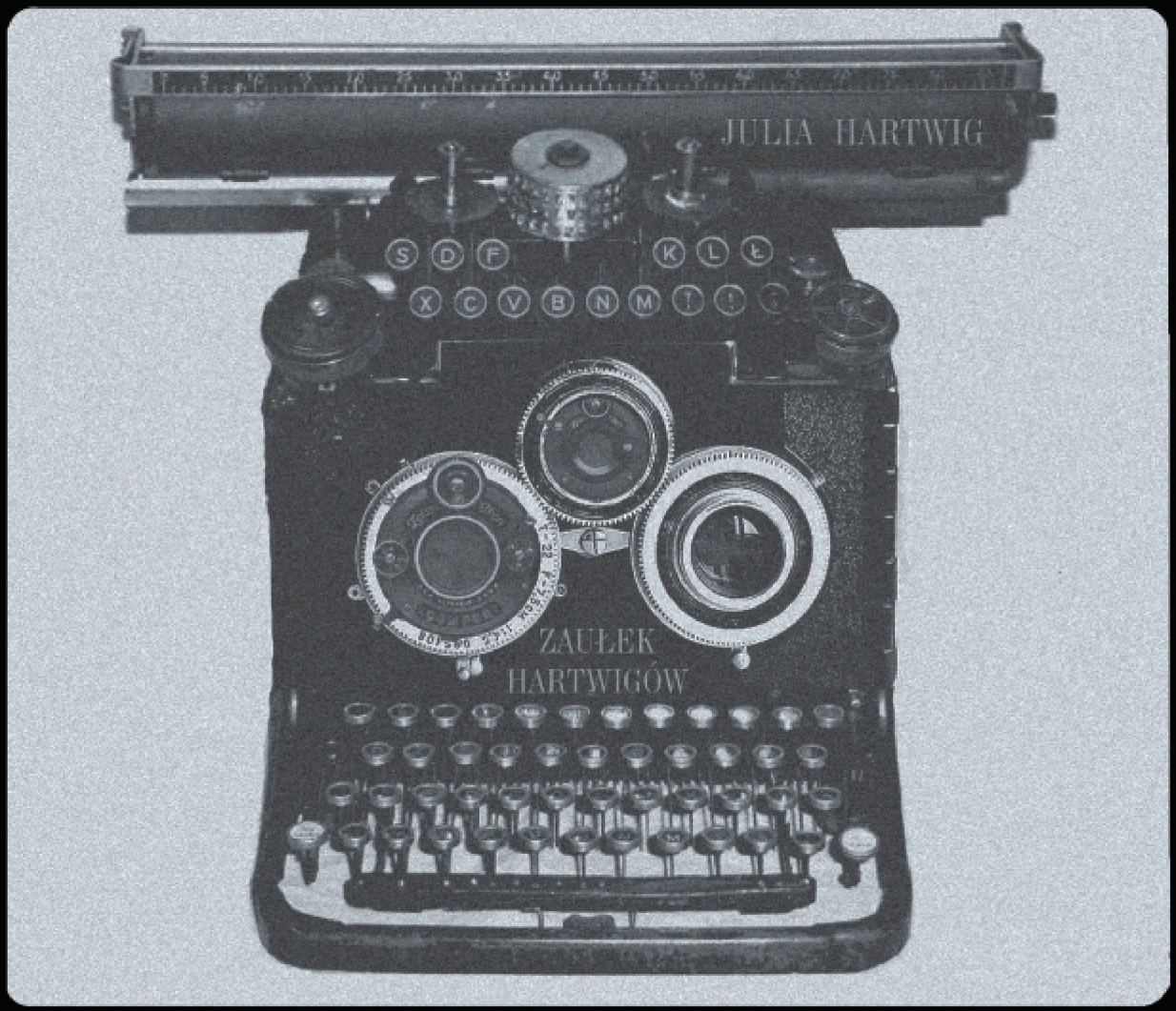

ZAUŁEK HARTWIGÓW

Autorzy zdjęć: LUDWIK HARTWIG Nr : 17, 19, 29.

EDWARD HARTWIG Nr : 3, 8, 13, 15, 16, 18, 20, 21, 22, 23, 27, 28.

HELENA HARTWIG Nr : 10, 11.

PAWEŁ PIERŚCIŃSKI Nr : 9.

Źródło pochodzenia zdjęć:
Pocztówki ze zbioru Zbigniewa Lemiecha: nr 17, 18, 19, 23, 29.
"Archiwum Hartwigów" znajdujące się w Ośrodku" Brama Grodzka – Teatr NN": nr 5, 8, 10, 11, 21.
Własność Ewy Hartwig-Fijałkowskiej: nr 3, 9, 12, 13, 15, 16, 20, 22, 24, 27, 28.
Własność Julii Hartwig: nr 1, 2, 7, 25, 26.
Zbiory Archiwum Państwowego w Lublinie: nr 4, 14.

Tekst: JULIA HARTWIG

W tekstach Julii Hartwig i Edwarda Hartwiga znalazły się następujące materiały:
Estetyczna wrażliwość, z Edwardem Hartwigiem rozmawiają Anna i Andrzej Bernatowie, "Nowe książki", 12/99, s. 4 – 7.
Patrycja Janowska, Z albumu i pamięci – wspominki Edwarda Hartwiga, "Na przykład", styczeń – luty 1999, nr 1 – 2 (65-66), s. 13 – 16.
Z wierszem trzeba poczekać. Rozmowa Marka Radziwona z Julią Hartwig, poetką, finalistką NIKE 2003, "Gazeta Wyborcza", z 23 września 2003.
Edward Hartwig. Lublin i okolice. Wspomnienie. Ze wstępem Julii Hartwig, Lublin 2004.
Edward Hartwig, Tematy fotograficzne, wstęp Julia Hartwig, Warszawa 1978.
Fragmenty rozmów przeprowadzonych przez Martę Kubiszyn w ramach projektu "Historia Mówiona" Ośrodka "Brama Grodzka – Teatr NN": rozmowa z Edwardem Harwigiem – nagranie z 18 stycznia 1999 roku, rozmowa z Julią Hartwig – nagranie z 2 marca 1999 roku.

Wydane przez:
OŚRODEK "BRAMA GRODZKA - TEATR NN"
20-112 Lublin ul.Grodzka 21

Partnerem przy wydaniu książki była
FUNDACJA JANUSZA PALIKOTA

Redakcja:
JOANNA ZĘTAR

Korekta:
ANETA NADOLNA

Opracowanie graficzne, okładka:
MAŁGORZATA RYBICKA

Druk i oprawa:
PETIT s.c.
Lublin

© Copyright by Julia Hartwig

ISBN 83 - 912837 - 7 - 1

Nakład: 500 egzemplarzy

Lublin 2006

OŚRODEK
BRAMA
GRODZKA
TEATR NN

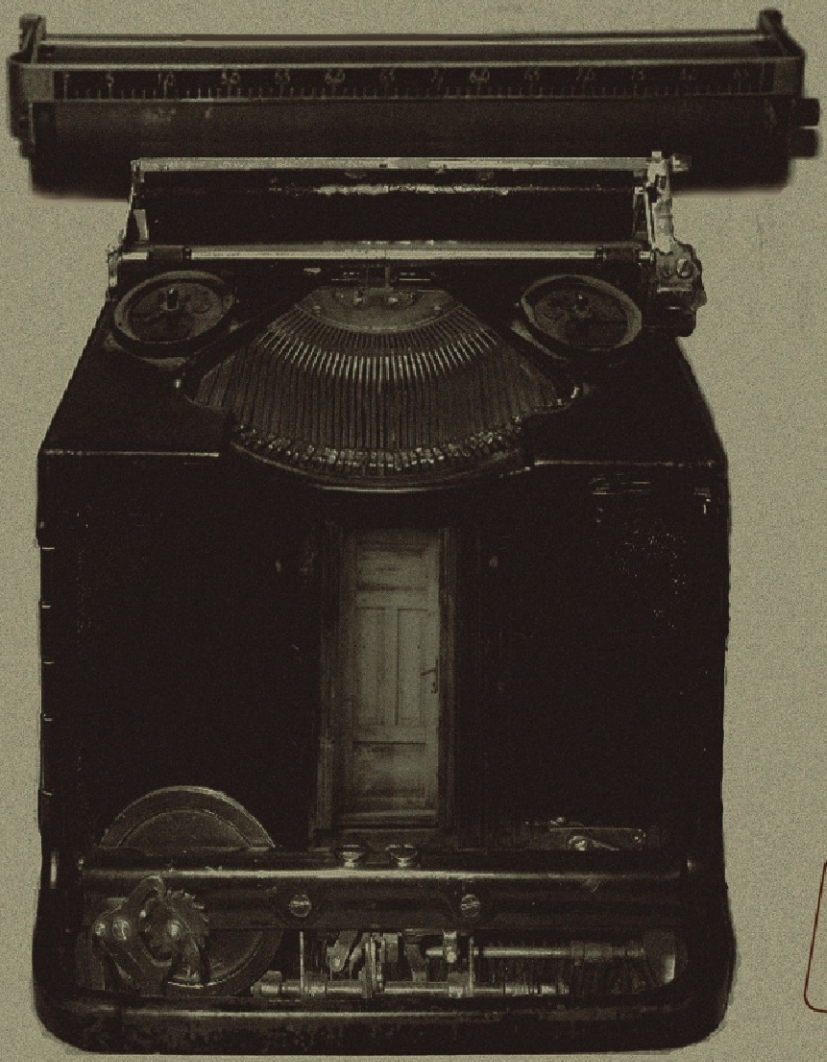

OŚRODEK
BRAMA
GRODZKA
TEATR NN

SCRIPTORES
BIBLIOTEKA

LUBLIN 2006